

Ziolo - leczenie czyli wywary na przywary

Wojciech Ziółtek SJ
w rozmowie z Anną Sosnowską

© Wydawnictwo WAM, 2015

Korekta Aleksandra Marczuk
Projekt okładki Agata Hanuszkiewicz
Typografia i łamanie Jacek Zaryczny

ISBN 978-83-277-0185-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 KRAKÓW
tel.: 12 62 93 200 • faks: 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel.: 12 62 93 254-255 • faks: 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel.: 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks: 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: DIMOGRAF • Bielsko-Biała

Spis treści

Zanim zaczniemy...	7
rozdział pierwszy	
Miłość na Bogato	13
rozdział drugi	
Wiara: czas się puścić!	37
rozdział trzeci	
Ciemność, widzę ciemność!	61
rozdział czwarty	
To już jest koniec?	93
rozdział piąty	
Grzechu warte?	109
rozdział szósty	
Za kratkami	131
rozdział siódmy	
Miłość ci wszystko wybaczy	167
rozdział ósmy	
Zaraz wracam	189

Zanim zaczniemy...

Gdyby nie tamto wydarzenie, sprzed wielu lat, nie byłoby ani tego wywiadu, ani tej książki, ani mnie, więc...

We wrześniu 1989 roku byłem na Sycylii, w naszym jezuickim domu rekolekcyjnym, w położonej tuż nad morzem małej, uroczej miejscowości Alta Villa Milicia. Miałem dwadzieścia sześć lat, od siedmiu lat byłem jezuitą i od roku studiowałem teologię w Rzymie.

Od pięciu lat, konkretnie od października 1984 roku, byłem w wielkim kryzysie, który dotyczył właściwie wszystkich aspektów mojego życia. Na zewnątrz funkcjonowałem niezłe: z całkiem dobrymi wynikami zaliczyłem trzyletnią filozofię w Krakowie, zrobiłem roczną „magisterkę”, czyli praktykę duszpasterską, ucząc religii jedenastolatków w „salkach” naszej gliwickiej parafii, a potem rozpocząłem teologię w Rzymie. Co więcej, robiłem nawet kabarety, organizowałem artystyczne imprezy i – jak zawsze – „fajnie opowiadałem dowcipy”. A w środku było czarno i coraz czarniej. Wielka, rozlana jak smoła, wszechobecna tępa rozpacz oraz nagłe, długie i okrutne ataki strasznego, ostrego, paraliżującego lęku. Paraliżującego nie tylko w sensie przenośnym: było mi trudno oddychać, bardzo się pociełem i przede wszystkim wydawało mi się, że nie wytrzymam ani chwili dłużej, że za chwilę coś mi się stanie. Oczywiście pojawiły się też myśli samobójcze i wcale nie były jakies szczególnie straszne. To przynajmniej było jakies rozwiązanie...

Pewnie, że szukałem pomocy. Byłem u różnych specjalistów – i tych od duchowości, i tych od psychologii, robiłem testy, terapie, ale nie pomagało. Oczywiście wszystkie te rozmowy były bardzo pożyteczne, wiele mi dały, i za to, czego dowiedziałem się wtedy o sobie i o swoim wnętrzu byłem i jestem szczerze wdzięczny. Ale nie pomagało! Na chwilę przynosiło ulgę, ale zaraz potem ciemność wracała, a lęk paraliżował jeszcze bardziej, bo ten powracający boli bardziej – jest jak rozdrapywanie otwartej rany.

I jeszcze bardzo się modliłem! Z płaczem wołałem do Pana Jezusa, starając się jednocześnie, najgorliwiej jak tylko umiałem, być Jego wiernym sługą i towarzyszem. Zawsze chciałem być dobrym jezuitą. Ale ani modlitwa, ani pragnienia bycia dobrym nie pomagały. Nic.

Na zewnątrz wszystko wyglądało całkiem normalnie i poza mną oraz bliżej wtajemniczonymi nikt nie wiedział, co się dzieje, ale ja powoli traciłem nadzieję i zapadałem się. Czarna rozpacz ogarniała wszystko. Trochę więcej nadziei wstąpiło we mnie przed wyjazdem do Rzymu, bo nowe miejsce, nowe wyzwanie, nowe środowisko i – daj Boże – nowe spojrzenie na samego siebie. Niestety, kiedy w Rzymie do tego wszystkiego doszły jeszcze trudności językowe i kulturowe, zrobiło się już całkiem źle. Nie pomógł nawet miesięczny powrót do Polski na początku wakacji. Co więcej, właśnie w Polsce – całkowicie bezsilny wobec siebie i doprowadzony do ostateczności rozpaczą i lękiem – powiedziałem, a właściwie wykrzyczałem Panu Bogu, że nie będę się już więcej modlił, że jak nie, to nie, że jeśli chce, bym umarł, to umrę. Ale ja też mam swoją godność i bez końca skamlał nie będę. Nie, to nie! Koniec! W takim właśnie stanie absolutnej desperacji jechałem na Sycylię.

Przed rozpoczęciem drugiego roku teologii, razem z kilkunastoma współbraćmi z najprzeróżniejszych krajów świata, właśnie na Sycylii przeżywaliśmy wspólnie z naszymi formatorami

tzw. miesiąc kapłański – czas refleksji nad kapłaństwem, które za dwa, trzy lata mieliśmy przyjąć. Miesiąc, na który składały się konferencje, spotkania z bardziej doświadczonymi jezuitami, a przede wszystkim długie „dzielenia się”, kiedy to każdy z nas mówił o własnym doświadczeniu, o tym, co sam uważa itd. To wszystko do południa, bo upalne popołudnia były czasem do własnej dyspozycji, przeznaczonym na refleksję, na lekturę, na odpoczynek. Tak wyglądały moje pierwsze trzy tygodnie tamtego września, bo ostatni tydzień w całości przeznaczony był na Ćwiczenia duchowne, którymi kończyliśmy miesiąc kapłański.

Ale jeszcze przed rekolekcjami jeden z naszych starszych braci, Sycyliczyk, który po czterdziestu latach pracy misyjnej na Madagaskarze wrócił do Włoch, nauczył mnie pływać. To ważny szczegół, bo ta nowa umiejętność sprawiła, że zacząłem jakoś tak bardziej realnie myśleć o tym, jak to wszystko zakończyć. Plan był taki, że wypłynę w morze tak daleko, żebym już nie mógł wrócić... Wszyscy co najwyżej pomyślą, że nie umiał dobrze pływać, przecenił swoje możliwości i... stąd tragedia, bo z morzem nie ma żartów...

Na zakończenie miesiąca kapłańskiego były rekolekcje. Rozpocząłem je bez najmniejszych oczekiwań, z wyżej przedstawionym planem w głowie, z wyjącą wręcz pustką w sercu i z mocnym postanowieniem, że nie będę się modlił, bo jak nie, to nie. W swoim postanowieniu trwałem dzielnie, choć od początku pojawiały się kwestie dość zaskakujące. Już we wprowadzeniu do pierwszej medytacji prowadzący Ćwiczenia włoski jezuita Silvano Fausti zaproponował tekst z 19. rozdziału Pierwszej Księgi Królewskiej mówiący o tym, jak zniechęcony, rozczarowany sobą i przegrany Eliaszkładzie się pod jakimś krzakiem i chce umrzeć. Nie żebym się zaczął modlić (jak nie, to nie!), ale do głowy i – trzeba to powiedzieć – również do serca zaczęły mi

przychodzić myśli i refleksje dotyczące wielu podobieństw między sytuacją moją a Eliasza. Wszystko to sprawiło, że zacząłem słuchać tego, co mówi... Fausti.

Niestety, kolejne dni przyniosły zmianę na gorsze... Fausti od chcącego umrzeć Eliasza przeszedł do tekstów biblijnych mówiących o Bożej miłości (Iz 43, Oz 11), a dla mnie był to temat nie do zdzierzenia. Wyłączyłem się więc znowu... Ale była pewna różnica: nawet jeśli słowa o Bożej miłości bolały do żywego, to zawsze mogłem powrócić do rozmyślań nad moim podobieństwem do Eliasza. Miałem towarzysza niedoli...

Aż nadszedł wreszcie... czwarty dzień rekolekcji, 24 września 1989 roku, kiedy to Silvano Fausti zaproponował nam do modlitwy tekst przypowieści o Miłosiernym Samarytaninie. Zacząłem słuchać i ze zdziwieniem słyszałem, jak mówi, że to nie jest przypowieść wyjaśniająca, kogo jeszcze mam kochać, tylko mówiąca o tym, kto mnie kocha i że to sam Pan Jezus jest tym miłosiernym, kochającym Samarytaninem, i dlatego właśnie opowiada tę przypowieść owemu uczonemu w Prawie, bo dobrze wie, że tamten bardzo cierpi, gdyż w swoim życiu nie doświadcza ani miłosierdzia, ani miłości.

Wróciłem do pokoju, zamknąłem drzwi i usiadłem w fotelu. Na zewnątrz świeciło ostre sycylijskie słońce, ale zamknięte persjany stwarzały atmosferę półmroku. Właśnie w tym półmroku sięgnąłem po Pismo Święte. Nie żeby się modlić... Chciałem tylko przeczytać. Otworzyłem i przeczytałem trzy słowa: „Pewien zaś Samarytanin...”. Dalej pamiętam tylko, że bardzo płakałem. Bardzo i długo. Niemal przez cały dzień. Nie wychodziłem z pokoju, nie zszedłem na posiłek, tylko siedziałem i płakałem. To były takie dobre łzy! Łzy szczęścia! Łzy uratowanego! Było mi z nimi tak dobrze! Bo w jednej chwili poczułem, że Ktoś mnie przytulił, że ktoś mi przebaczył i że właśnie pokochał tak mocno i prawdziwie, że nie mogę mieć co do tego żadnych wątpliwości. Żadnych!

Aha! I jeszcze skończył się mój pięcioletni kryzys! W tej jednej sekundzie, przy tych trzech prostych słowach: „Pewien zaś Samarytanin...”, skończył się i nigdy już nie wrócił! Jeszcze nie raz bywało źle, jeszcze nie raz ciemność zagłędała mi w oczy, ale nigdy już nie była tak beznadziejnie nieprzenikniona, nigdy już do mego serca nie powróciła boleśnie skowycząca pustka.

Żyję!

Zmiana była tak niesamowita i tak radykalna, że po powrocie do Rzymu wszedłem do mojego pokoju, znów zamknąłem drzwi i... dotykałem ścian i mebli, bo wszystko wydawało mi się nowe, inne, zmienione. Wszystko było inne, choć przecież takie samo.

Trwa do dziś.

Wszystko, co stało się potem w moim życiu, mogło się stać dzięki tamtemu wydarzeniu sprzed lat. Dzięki niemu również całe moje życie potoczyło się inaczej, niż to sobie wcześniej planowałem i inaczej niż myślałem.

Bo to przecież nie tak miało być. Miałem być gr z e c z n y i – jak przystało na dobrego zakonnika – u r a d o w a n y. Dzięki temu, że „Pewien zaś Samarytanin...” nie przeszedł obok mnie umierającego obojętnie, tylko wzruszył się moją biedą i ranami, odkryłem i doświadczyłem, że jestem gr z e s z n y, a l e u r a t o w a n y! To najszczęśliwsze doświadczenie mojego ponadpięćdziesięcioletniego życia.

Nigdy nie zdołałem Mu za to podziękować, ale bardzo Mu jestem za to wdzięczny!

Podobnie mojej Rodzinie, Współbraciom i Przyjaciołom, bo zawsze byli i są przy mnie.

Ta rozmowa jest o tym!

Wojciech Ziółek SJ

PS. Nie byłoby tej książki, gdyby nie kompetencja, delikatność i warsztatowa solidność Pani Ani Sosnowskiej. Wszystkie te swoje cechy, ubrane w kobiecy wdzięk i urok osobisty, ujawniła w pełni nie tylko podczas przeprowadzania samego wywiadu, ale też podczas mozolnej i trudnej redakcji tekstu. I cały czas była wobec mnie cierpliwa!

Pani Aniu, bardzo dziękuję!

rozdział pierwszy

Miłość na Bogato

Chciałabym rozpocząć naszą rozmowę od miłości.

O! I już się robi ciekawie! (śmiech)

My bardzo lubimy koncentrować się na grzechu, tymczasem to miłość Boga pokazuje nam z właściwej perspektywy wszystkie sprawy.

Jak mówią: „bliższa ciała koszula”, więc ani trochę mnie nie dziwi to koncentrowanie się na grzechu i na słabości. Doskonale znam taki stan, w którym mówienie o miłości Pana Boga może zwyczajnie denerwować i boleć. Kiedy przeżywając kryzys, słyszałem, że Jego miłość istnieje, bo ktoś ją czuje, nie tylko nie dowierzałem tym deklaracjom, ale mnie to wkurzało, bolało. Zdenerwowany mówiłem sam do siebie: Ja oczywiście wierzę, że Pan Bóg kocha i innych, i mnie. Tylko że ja tego nie czuję! – krzyczałem. A skoro nie czuję, to tak, jakby tego nie było. Cóż mi po samej świadomości...? A potem jeszcze obwinałem siebie, bo myślałem: Skoro ktoś tę Bożą miłość czuje, to dlaczego ja nie potrafię? Co się ze mną dzieje? Co jeszcze powinienem zrobić? Przecież chyba nie jestem aż takim zimnym draniem? Przecież moja mama zawsze mi powtarzała, i wciąż powtarza, że mam dobre serce...

Pojawiła się wtedy w Ojca głowie myśl: Może ja na tę miłość po prostu nie zasługuję?

Oczywiście, że tak. Takie, wspomniane wcześniej, mówienie o Bożej miłości wpędzało mnie w wielkie poczucie winy, bo wiedziałem, że ja nie zdołam być już grzeczniejszy – znałem przecież siebie, ciągle coś pchało mnie na manowce.

Co się Ojcu nie podobało w tym przekazie?

Jakiś rodzaj pychy połączonej z egzaltacją. Spotykałem ludzi, którzy zdanie „Pan Bóg mnie kocha” wypowiadali z przerażającą wręcz pewnością. Nie pozostawiali ani skrawka miejsca na wątpliwości, wszystko było dla nich jasne i oczywiste – jak w reklamie z udziałem kabaretu Mumio: „Jeśli się czegoś nie kocha, to się tego nie sprzedaje”. Tymczasem jedyną pewną rzeczą, którą ja wówczas odczuwałem, był dojmujący brak miłości i wypływający z niego, jeszcze bardziej dotkliwy, przerażający i paraliżujący lęk.

Ewangelizacyjne komunikaty brzmiące: „Bóg cię kocha!” nie łagodziły tego stanu?

Zawsze mnie denerwowało – i do tej pory tak się dzieje – gdy ktoś wykrzykiwał mi te słowa w twarz. Jeśli mam doświadczyć miłości Pana Boga, to na pewno nie na skutek czyjegoś gwałtownego i usilnego przekonywania: „Słuchaj, naprawdę tak jest!”. Tymczasem wiele osób próbowało w ten właśnie sposób ze mną rozmawiać.

I jaki był efekt?

Żaden, bo – jak wspomniałem – ja wierzyłem, że Pan Bóg mnie kocha. Czemuż miałbym nie wierzyć?! Tylko nie czułem tej miłości. Na tym polegał dramat.

Ojczy, to brzmi niemal jak coming out.

Dlaczego?

Bo w Kościele słyszymy zwykle, że właśnie nie o odczuwanie chodzi, lecz o wiarę, a kto domaga się namacalnego doświadczenia miłości Boga, ten jest duchowo niedojrzały.

No to serdecznie zapraszam do Klubu Niedojrzałych Duchowo. Ja tu jestem Prezesem, więc moje zaproszenie w zupełności wystarczy. Na pewno Panią wpuszczą! (śmiech)

A wracając do pytania. Pani Aniu, my po prostu boimy się przyznać do tego, że Go nie czujemy. Jak to? Ja – wierzący nie czuję Jego miłości? Ja – ksiądz nie potrafię tego? Przecież ludzie na mnie patrzą, a ja muszę swoim życiem dawać im świadectwo istnienia Pana Boga. Zatem nie mogę się przyznać, że Go nie doświadczam. Wyszepczę to czasem bardzo cichutko na spowiedzi, ale potem...

Wydaje mi się, że to właśnie stąd bierze się to słodkie kościelne gadanie. Wykrzykiwanie: „Pan Bóg cię kocha!” jest przede wszystkim przekonywaniem samego siebie.

Na spotkaniach ewangelizacyjnych wykrzykuje się często jeszcze ciągnąc dalszy: „Żeby uwierzyć w tę miłość, musisz otworzyć swoje serce!”

Kiedy słyszę „musisz”, momentalnie budzi się we mnie sprzeciw. Jeśli coś muszę, to na pewno tego nie zrobię – znam siebie. Taki po prostu jestem.

A jednak, gdyby dwadzieścia kilka lat temu w czasie sycylijskich rekolekcji nie otworzył Ojciec serca, może dziś nie byłoby tej rozmowy.

Wtedy to ja najpierw otworzyłem uszy, a potem zapłakane oczy, ze zdziwienia. Rekolekcjonista nie zaczął od miłości Pana Boga. Gdyby tak zrobił, zwyczajnie bym się wyłączył. Ten zabieg miałem już doskonale przećwiczony – zresztą do tej pory tak robię. Kiedy nie mogę słuchać już tego typu pustosłowa, a wyjście z pomieszczenia, gdzie ktoś nadaje, jest niemożliwe, wyłączam się, wyliczając w myślach miejsca i zwycięzców kolejnych finałów mistrzostw świata w piłce nożnej: w 1930 roku w Urugwaju wygrał Urugwaj, w 1934 roku we Włoszech Włosi itd., aż do Brazylii w 2014. Choć muszę przyznać, to na pewno kwestia wieku, że przy tym ostatnim finale trudno mi sobie przypomnieć, kto w końcu wygrał... (śmiech)

Pytanie będzie nie na temat, ale go sobie nie odmówię: W jakich okolicznościach ostatnio się to Ojcu zdarzyło?

Całkiem niedawno, podczas trwającego prawie pięć godzin rozpoczęcia roku akademickiego na jednej ze śląskich uczelni...

Wróćmy do rekolekcji. Od czego w takim razie zaczął kaznodzieja?

Od Eliasza, który leżał pod krzakiem i chciał umrzeć.

Podobnie jak Ojciec.

Tak, podobnie jak ja. Miałem już wszystko zaplanowane w kwestii mojej śmierci. W tym fragmencie z Pierwszej Księgi Królewskiej znalazłem jedną rzecz, która łączyła mnie z Eliaszem. On modlił się do Pana Boga: „Odbierz mi życie, bo nie jestem lepszy od moich przodków” (1 Krl 19,4). Do mnie, wówczas dwudziestoparoletniego mężczyzny, brutalnie dotarła właśnie ta prawda: że wcale nie jestem lepszy od moich przodków, od

mojego ojca, a przecież tak bardzo chciałem. Kiedy czyta się ten tekst w ciszy i skupieniu, może się wydawać, że rozczarowanie sobą to błahy problem – na pewno nie na tyle poważny, by odebrać sobie życie. Ale to nieprawda! Rozczarowanie sobą jest bardzo bolesne. Im większa przepaść między ideałami wrażliwego serca a rzeczywistością codziennego życia, tym większy ból i kryzys. Nie do zniesienia. A poza tym, jeśli człowiek przeżywa kryzys...

Historia Eliasza, doświadczenia Ojca, losy ludzi, którzy naprawdę borykają się w życiu z wieloma trudnościami – takich cierpień nie da się po prostu zakleić plastrem z napisem: „Bóg cię kocha”. Nie ma Ojciec wrażenia, że coś, co zamykamy w tym krótkim sloganie, jest dla nas w rzeczywistości wielkim wyzwaniem? Bo wcale nie tak łatwo uwierzyć w prawdę o miłości, którą Bóg nas obdarza, niełatwo ją przyjąć.

Całkowicie się zgadzam, choć jedną rzecz chciałbym doprecyzować. Mimo wszystko, na pewno trzeba o tej miłości mówić.

Jednak?

Tak. Właśnie po to, żeby jątrzyć, żeby podrażniać bolące miejsca. Kiedy chcemy nauczyć się jeździć na rowerze, na początku wydaje się, że to jest w ogóle niewykonalne – człowiek nie może utrzymać pionu, poruszając się tylko na dwóch kołach. Potem zaczynamy próbować, ale ciągle się przewracamy, i po którejś tam nieudanej próbie oświadczamy: „To jest niemożliwe! Tak się po prostu nie da!”. Wtedy tata albo ktoś inny, kto nas uczy, mówi: „Dasz radę. Skoro ja umiem, to i ty potrafisz. Zobaczysz, w końcu ci się uda”. Denerwuje nas to, bo jak się może udać, skoro cały czas się przewracamy! Ale jeszcze bardziej nas denerwuje, że to

jest jednak prawda, bo przecież oni umieją. Przecież widzieliśmy, jak jeżdżą. Więc sobie mówimy: „Może inni potrafią, ale nie ja”. W rezultacie mamy ochotę rzucić tym rowerem i pójść sobie w diabły. Ale po chwili po raz kolejny słyszymy słowa: „Człowieku, wiesz jak wspaniale jeździ się na rowerze? To naprawdę jest kapitalne!”

W ten sposób rower z jednej strony staje się przyczyną frustracji, z drugiej zaś – obiektem pragnień.

Musimy się z tym zmierzyć: chociaż teraz jeszcze nie potrafimy jeździć, to nie jest to poza naszym zasięgiem. Widzimy przed sobą punkt na horyzoncie i dzięki temu wiemy, w którym kierunku powinniśmy podążać.

Łatwo rozpoznać moment, kiedy opanujemy już umiejętność jazdy na rowerze. Ale po czym można poznać miłość? Nawet to uczucie między ludźmi pozostaje w pewnym sensie nieuchwytnie. Przybiera formy czułych gestów, dobrego traktowania, troski, ale samą miłość trudno zdefiniować.

Z każdą miłością jest tak, że poznaje się ją po owocach. O moich sycylijskich rekolekcjach, o tym, co tam się wydarzyło, przez pierwsze pół roku nikomu nie mówiłem.

Dlaczego? Przecież to było bardzo ważne.

Dramat polegał na tym, że w stanie, w którym wtedy się znajdowałem, odczuwałem z jednej strony wielki głód, ale z drugiej – miałem w sobie mnóstwo podejrzliwości, zupełnie jak szczur.

Szczur?

Tak, bo on nie zje byle czego, nawet kiedy jest bardzo głodny. Nawet to, co wygląda i pachnie kusząco, może okazać się truciźną. Podobnie było ze mną. Nie miałem żadnej pewności, czy to, co przeżywałem, nie było po prostu moim wymysłem.

Zastanawiał się Ojciec nad tym, czy sam sobie nie wygenerował tego doświadczenia miłości?

Właśnie tak. Religia wymyślona przez nas samych to naprawdę opium dla ludu. Dziś mogę opowiadać o tych wydarzeniach z Sycylii bez obaw, bo nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że moje odczucia były prawdziwe. Nie przeżyłem żadnego obłądzenia, nie doświadczyłem żadnej wizji, ale jednocześnie po Sycylii nic już nie było takie samo jak wcześniej – ani takie jak w czasie kryzysu, ani takie jak przed nim.

Czyli nie mieliśmy do czynienia z wielkim powrotem starego Ziółka...

...grzecznego ministranta? Nie. Rzeczywistość się nie zmieniła, lecz ja wszystko zacząłem widzieć zupełnie inaczej. Przez pół roku nie mówiłem o tym ani słowa, obawiając się, że jak powiem, to ten stan minie. Dopiero z czasem, powoli, jak ślimak, zacząłem wydobywać tę historię na światło dzienne.

Historia Ojca pokazuje dobitnie, że w kwestii naszej przemiany inicjatywa należy do Boga. A czy sami możemy stworzyć w sobie takie warunki, które ułatwią Bożej miłości dotarcie do nas?

Z tą kwestią zawsze miałem problem, bo – szczerze mówiąc – ja uważam, że nie. Nie mam żadnego *imprimatur* na takie myślenie, ale w moim przekonaniu to Pan Bóg robi nam w sercu

miejsce dla Siebie. Czy św. Ignacy, broniąc twierdzy w Pampełunie, przygotowywał się do tak czułego i przemieniającego spotkania z Panem Bogiem, jakie było mu dane przeżyć? Nie, on się szykował do spotkania z wrogiem na polu walki. W Loyoli, gdzie się urodził i gdzie – po ranach odniesionych w tamtej walce – przeżywał rekonwalescencję, podczas której doświadczył nawrócenia, jest kaplica upamiętniająca to wydarzenie. W kaplicy śliczna figura ubranego w dworskie szaty Ignacego, siedzącego na sofie, z wyciągniętą i obandażowaną nogą oraz z księgą Żywotów Świętych w ręce i ze wzrokiem utkwionym w górze. Nad figurą, na jednej z belek powały widnieje napis, niezwykle wzruszający dla każdego jezuitę: *Aquí se entregó a Dios Iñigo de Loyola* – „Tu oddał się Bogu Iñigo Loyola”. W teże Loyoli odprawiałem ostatnio moje Ćwiczenia duchowne, spędzając wiele godzin w tej właśnie kaplicy. Stary, doświadczony jezuita, który mnie prowadził, zwrócił mi uwagę, że to zdanie jest niepełne, bo brakuje pierwszej części.

Jakiej?

„Tu Bóg oddał się Iñigo Loyoli”. Bez tego oddania się Pana Boga nie byłoby ani drugiej części zdania, ani św. Ignacego, ani jezuitów, ani nas, dzisiaj tu rozmawiających. Ale żeby nie ograniczać się tylko do jezuickiego podwórka: Czy Augustyn, żyjąc jak mu się tylko podobało, przygotowywał się do nawrócenia? A św. Paweł pod Damaszkiem? Nie. Natomiast wspólnym mianownikiem tych historii był jakiś wewnętrzny głód, jakiś brak i wpływające z niego pragnienie...

Ale w Biblii znajdujemy przecież ponaglenia takie jak: „Przygotujcie drogę Panu” (por. Łk 3, 4).

To prawda, dlatego niniejszym chciałbym publicznie oświadczyć, że nie rozumiem jeszcze tych fragmentów Pisma Świętego. Znamy takie historie, kiedy ktoś usunął zupełnie Pana Boga z horyzontu swojego serca i umysłu, a jednak Panu Bogu udało się go dopaść. Kalendarz liturgiczny jest pełen takich świętych, na których nawrócenie spadło zniecka – jak grom z jasnego nieba. Oczywiście, często pomagała w tym czyjaś modlitwa.

Św. Augustynowi nawrócenie wyplakała i wymodliła mama.

A on dobrze wiedział o jej staraniach.

Część osób zwraca się do Boga pod wpływem jakiegoś bardzo trudnego doświadczenia – wypadku, śmiertelnej choroby, odejścia kogoś bliskiego.

W takich sytuacjach stawiamy sobie pytania fundamentalne, ale przecież nie wszyscy tak robią. Zresztą nawet ci, którzy je zadają, w pierwszym odruchu może i zapłaczą, zmartwią się, ale potem wycofają się, mówiąc: „Nieeee, byłam po prostu chora i pozwoliłam sobie na takie sentymenty i filozofowanie. Na szczęście teraz już wszystko wróciło do normy. Wróciłam do siebie i nie stawiam sobie już takich pytań”. To autentyk. A przecież to wszystko nie ze złej woli, tylko ze strachu przed miłością, przed możliwością bycia wydanym „na pastwę” miłości.

I jak z takimi ludźmi postępuje Bóg?

My odpuszczamy, ale On nigdy nie odpuszcza, nie rezygnuje. Gdyby im powiedział: „Nie zrobiłeś tego, nie przygotowałeś swojego serca i w związku z tym nie spotkamy się na tamtym świecie”, to jakim byłby Bogiem? Jeśli mam być szczerzy, to nie

takiego Boga bym pragnął. A ilu jest ludzi, którzy nawet przyciśnięci do muru przez życie lub rozliczne dramaty i doświadczenia, nadal nie są w stanie uwierzyć w miłość swoich rodziców i w miłość w ogóle? Nie są w stanie powiedzieć o rodzicach choćby jednego dobrego słowa! Czy ci ludzie są aż tacy źli? Nie! Są aż tak zamknięci w sobie i aż tak poranieni.

Zdaje sobie Ojciec sprawę z tego, że można Ojcu zarzucić zbyt ni optymizm zbawczy?

Tak, wiem. Cóż, każdy może mówić i osądzać, jak uważa. Ja mówię o tym, czego doświadczyłem i w co nie mogę wątpić. A wracając do optymizmu, to niemało naciерpiał się z tego powodu żyjący współcześnie ks. Wacław Hryniewicz, który głosi nadzieję powszechnego zbawienia. Czy to jest zbyt ni optymizm, czy raczej chrześcijańska nadzieja rozlana przez Ducha w naszych sercach? Natomiast Juliana z Norwich – można rzec: „średniowieczna Faustyna Kowalska” – nie została świętą właśnie dlatego, że też wydawała się być zbyt ni optymistką w tym względzie. Nie została świętą kanonizowaną, ale na niebo, czyli na wieczną i niesamowitą bliskość z Panem Bogiem, załapała się z całą pewnością. Pani Aniu, powiedzmy sobie szczerze i otwarcie: to nam wystarczy, prawda? Solo Dios basta!

W zupełności!

Ale próbując odpowiedzieć: ja po prostu wierzę, że Pan Bóg jest w stanie znaleźć drogę do każdego. Cóż to byłby za Bóg, gdyby tego nie potrafił? Jakim byłby pedagogiem, gdyby nie umiał dotrzeć do człowieka, tłumacząc się tylko: „Przepraszam bardzo, Ja mu zostawiłem wolny wybór; powiedziałem mu jasno, że albo zrobi tak, albo będzie musiał ponieść konsekwencje”. Przecież

nawet my, źli ludzie, wiemy, że taki pedagog nie nadaje się do wykonywania swojej pracy. Tego typu komunikat przyjmie najwyższej grzeczne dziecko, a z tym niegrzecznym trzeba inaczej, trzeba się napracować, żeby wreszcie do niego dotrzeć... A dobry pedagog to nie taki, który umie dotrzeć do grzecznych dzieci, tylko taki, który potrafi przebić się przez mur obaw i lęku zbudowany przez dzieci trudne i problemowe. Gdybym na takich pedagogów nie trafił, nie byłoby mnie tutaj.

Kłopot polega na tym, że te niegrzeczne dzieci to dorośli ludzie obdarzeni rozumem i wolną wolą.

Dlatego w pewnym momencie ze strony Pana Boga pada pytanie: „Czy chcesz?”. Być może stanie się to dopiero w chwili śmierci.

Kiedy wszystko zobaczymy w prawdziwym świetle. Otrzymamy wówczas kompletny zestaw danych.

Wówczas zrozumieć, czego to pytanie dotyczy, bo wcześniej mogę nie mieć o tym zielonego pojęcia. Moje dotychczasowe „nie” może wypływać ze złości, zacięcia, przekory albo zwykłej głupoty. Czasem mówi się o kimś: „Boże, on całe życie robił straszne rzeczy, całe życie Kościół opluwał” itd. A przecież Pan Jezus zostawił nam w Ewangelii przypowieść o robotnikach ostatniej godziny, prawda? Tylko że my tej przypowieści nigdy nie akceptujemy.

Bo gdy chodzi, oczywiście, o innych – zdecydowanie preferujemy sprawiedliwość, nie miłosierdzie?

Nie inaczej. Warto sobie jednak przypomnieć bardzo ważną rzecz: Kościół nigdy nie wydał orzeczenia, że ktoś został

potępiony. Nawet jeśli jakiś człowiek opierał się Panu Bogu całe życie, to w chwili śmierci wszystko może się jeszcze zdarzyć.